

KRONIKA LITERACKA.

*Biblioteka Ossolińskich. Poczet nowy. Tom drugi. Lwów,
1863, str. 463.*

Drugi tom Biblioteki Ossolińskich, odznaczający się, tak jak poprzedni, wyborem artykułów, między którymi są prace zaszczyt literaturze naszej przynoszące, zawiera w sobie, oprócz kroniki Zakładu, z której pewne szczegóły do wiadomości literackich przydać się mogą, przedmioty odniesione do czterech działów: historii, literatury, umiejętności i krytyki. Co do tego podziału, zrobimy tylko uwagę, iż gdy krytyka sama przez się nie stanowi specjalności, przeto krytyczne prace, ze względu na ich przedmiot, tém bezpieczniej do jednego z trzech poprzednich działów zaliczyćby można, iż prace specjalne w powyższych działach zamieszczane nie wyłączają wcale krytycznego lub nawet polemicznego sposobu traktowania rzeczy. Na zaletę redakcyjnego planu zauważyć należy, iż każdy tom stanowi oddzielną całość, w której każdy artykuł, choćby najobszerniejszy, w zupełności się mieści; tym sposobem, wychodzące dwa razy na rok pismo, będąc zarazem peryodycznem i zbiorowem, może się rozpowszechnić drogą handlu księgarskiego, niezależnie od prenumeraty, która z powodu zbyt odległych terminów wyjścia pojedynczych tomów, nigdy nie będzie odpowiednią wartością pisma i nie zapewni mu takiego rozpowszechnienia na jakie zasługuje.

Rozpoczyna ten tom opowiadanie historyczne Karola Szajnochy o Hieronimie i Elżbiecie Radziejowskich, gdzie na podstawie wiarogodnych źródeł, a głównie opierając się na Pamiętnikach Albrychta Radziwiłła, których oryginał łaciński znajdujący się w Bibliotece Ossolińskich znacznie się różni od znanego prze-

kładu i na nie wydanym jeszcze Dyaryuszu Stanisława Oświecima, Szajnocha z psychologiczną ścisłością rozbiera charakter Hieronima Radziejowskiego i wykazuje dowodnie, że, zanim zdrajcą został, był już człowiekiem chciwym, nikczemnym, intrygą dorabiającym się znaczenia i wpływu. Przeciwnie, trzecia żona Radziejowskiego Elżbieta Słuszcanka, *primo voto* Kazanowska, z którą Radziejowski ożenił się tylko dla zagarnięcia jej majątku, była to, według świadectw, kobieta dobrej sławy, uczciwych i skromnych obyczajów, którą niesłusznie, a poczęści z winy męża, o miłosne stosunki z Janem Kazimierzem podejrzewają. To obwinienie wzięło swój początek z przejętego przez króla listu Radziejowskiego do Maryi Ludwiki, gdzie ten oszczerca, pragnący przez denuncyacje pozyskać sobie względy królowej, rozpiął się, jak nam blizki świadek zdarzenia Stanisław Oświecim opowiada „o nikczemności królewskiej, o niesposobności jego i nieumiejętności w regimentowaniu wojska, o radach lekkich i niestatecznych i o wielu innych rzeczach, sławę i reputację królewską tykających. Wspomniął i żonę swoją z wielką ku niej dyffidencją i uskarżaniem się na nią o prywatne z królem, jako i inszemi pewnemi u dworu osobami korespondencye i porozumienia na szkodę małżeństwa i małżonka”. Owa niegodziwa wzmianka o żonie była tylko potworczym dwuznacznikiem. Mogła z niej i królowa i cała dalsza publiczność najobelżywsze snuć podejrzenia; lecz w gruncie miała ona, według wszelkiego prawdopodobieństwa, myśl inną: oskarżała żonę nie tyle o miłostki, ile raczej o proste intrygi gabinetowe. Pisze bowiem Radziejowski o prywatnych żony „z królem, jako i inszemi pewnemi u dworu osobami korespondencyach i porozumieniach”, w czém niepodobna przecież upatrzeć porozumień miłosnych, romansów skromnej przez tak długie lata kobiety z królem i wielu innemi panami, dworu. Nadto, dowodzi Szajnocha iż od lat przeszło 14 znaną była terazniejsza podkanclerzyna Radziejowska z codziennego pożycia Janowi Kazimierzowi. Przez cały ten przeciąg czasu patrzył młody królewicz obojętnie na młodą i piękną marszałkową nadworną (Kazanowską), żadnym a żadnym krokiem nie dając powodu do podejrzeń o skłonność dla niej, a dopiero podstarzawszy się, królem zostawszy, głośną z wdzięków i rozumu żonę pojawiając, w tak ubłogosławioném stadle z nią żyjąc, miałby naraz zakochać się w znacznie już starszej, mniej nadobnej, po raz drugi zamężnej podkanclerzynie. Raczej więc o jakieś

gabinetowe z królem i innemi urzędnikami porozumienia, nie zgadzające się z widokami królowej, chciał Radziejowski oskarżyć żonę, w czém nieszczęśliwa podejrzliwość królowej i skora do takich zmyśleń wyobraźnia gawiedzi uroiły sobie z łatwoscią sprawę sercową, nieznaną zgoła żadnemu świadkowi społecznemu. Wystawiwszy w prawdziwszém świetle postacie Radziejowskiego i Radziejowskiej, słusznie też i co do Jana Kazimierza uważa Szajnocha, iż charakter tego króla pełen jest najdziwniejszych sprzeczności, a całe jego życie uderza najsprzeczniejszymi zmianami i zawiera kilka nader różnej wartości epok. „Nie zważa na to, mówi dalej Szajnocha, świeżo w Warszawie wydany „Obraz historyczny” naszego króla i znaczną mu w tém krzywdę wyrządza. Zebrawszy bowiem z przeróżnych źródeł i czasów same prawie niepoehlebne rysy obrazu, zestawił je autor w jakimś ciemnym, ryczałtowém, martwym skupieniu, nie dającém żadnego wyobrażenia o różnobarwności następujących po sobie kolei i przemian życia. Tymczasem, między Janem Kazimierzem w pierwszych kilku latach po koronacji a Janem Kazimierzem w latach po Beresteczku i dalszych, cóż za niezmiernie wielka różnica, acz nie trudna do dostrzeżenia. Jan Kazimierz w pierwszych latach panowania był królem rządnym, czynnym, śmiałym, szczęśliwym. Dopiero wzbronione królowi przez szlachtę dopomożenie do ścigania rozbitych nieprzyjaciół i odpowiedniego skończenia tém całej wojny zniechęciło serce królewskie, a dalsze skutki zawichrzenia beresteckiego, dalsza wojna ze straszną klęską batowską, całkowite wreszcie odstępstwo narodu w wojnie szwedzkiej do reszty złamały króla. Miał on jednak swoje chwile świetniejsze, a jeżeli wolnym wyborem na tron wyniesiony, nie znalazł dobrym chęciom swoim poparcia i upadł wspólnie z narodem, czemuż w ogólném dziś ocenieniu tamtoczesnych grzechów i cnót nie przyznać żadnego promyka zasługi królowi nieszczęśliwemu, który tak świetnie i pracowicie rozpoczął rządy, a umarł nie (jak w owym Obrazie historycznym) ośmdziesięcioletnim starcem w rozkoszach, lecz w 63 roku życia ze smutku na wiadomość o wzięciu Kamieńca przez Turków, tak spokojnie zniesioném przez całą konfederacyą gołąbską.”

Nie wdając się w krytykę źródeł z których czerpał Szajnocha, zaprzeczyć nie można iż opowiadanie o Radziejowskim, (od str. 1 do 110) odznaczające się, tak jak inne jego prace historyczne, rzadką równowagą rozsądku i imaginacji, erudycyi i uczucia, technie nadto jakąś przekonywającą wytrawnością sądu

moralnego i politycznego, któremu sam sposób zapatrywania się autora na dzieje i życie powagę nadaje. Nie kusi się Szajnocha na historyczne niespodzianki i wynalazki, głównie mu idzie o oświecenie przedmiotu takie, żeby szczegóły same przedstawiły się czytelnikowi w właściwej proporcji i z kolorytem naturalnym, a jeżeli uznaje za potrzebne, przyjęte i powtarzające się sądy prostować lub uzupełnić, przystępuje do niego z dowodami w ręku i ze skrupulatnością cechującą dobrą wiarę i szczerłość przekonania. Wcale zaś nie hołduje Szajnocha i nie sprzyja, jak to i z tej ostatniej jego pracy widać, owemu popędowi niektórych pisarzy do trawestacji historycznej, do skwapliwego korzystania z jakichkolwiek, często podrzędnej wartości lub źle z ciągiem dziejów zestawionych szczegółów, by zasłużone osobistości poniżyć, a niegodne rehabilitować.

Wacław Potocki i jego *Argenida*, studjum do literatury i rzeczy narodowych XVII wieku (str. 111—196). Pod tym tytułem p. Ludwik Nabelak, którego nazwisko, acz dawno już nie spotykane, dziejom naszej literatury nie jest obce, dał krytyczny rozbiór poematu nie tyle przełożonego, ile przerobionego z łacińskiej powieści proza: *Argenis*, której autorem jest Jan Barclay, z rodziny szkockiej we Francji urodzony i wychowany. Wspomniona powieść po raz pierwszy wydana w Paryżu 1621 r., jest allegoryą polityczną, odnoszącą się do czasów wojny domowej poprzedzającej wstąpienie na tron francuzki Henryka IV. Już więc w czasie wyjścia *Argenidy* przedmiot nie był współczesnym i pomimo niezaprzeczonego talentu autora nie mógł obudzać żywego zajęcia; oprócz tego, w samym pomysle tkwiła pewna wada estetyczna, osłabiająca poetyczne znaczenie utworu, mianowicie brak prawdy estetycznej. Allegorya wyłącza wszelkie złudzenie; czytelnik przezierający alluzje nie przeniesie się całą duszą w świat poety, skoro ten świat nie tchnie życiem rzeczywistym, ale jest tylko symbolicznym wizerunkiem życia. Niewdzięcznego więc chwycił się przedmiotu Wacław Potocki, i rzeczywiście, gdyby mu szło tylko o tłumaczenie *Argenidy*, nie można by tego inaczej nazwać jak marnotrawstwem talentu. Ale i w tak niekorzystnych warunkach rodzinny talent naszego poety umiał zachować oryginalność. Łaciński tekst *Argenidy* służy mu tylko za ramy, które rozszerza i zapełnia według upodobania wsuwając w nie liczne ustępy i obrazy z rzeczami krajowemi związane. Są to po większej części ustępy refleksyjne i moralizujące, albo satyry obyczajowe i polityczne, godne uwagi

nietylko ze względu na energiczne i obrazowe wysłowienie, na wersyfikacją śmiałą i dobrze wyrobioną, ale jeszcze bardziej ze względu na świadectwo jakie dają o pojęciach, zasadach i obyczajach współczesnej Wacławowi Potockiemu epoki. Dawniejsza literatura nasza, jak słusznie mówi p. Nabelak, nie jest wcale bogata w zabytki pamiętnikowe; a jakże to rzecz ważna mieć obrazy z życia tak poruszonego, jak było życie publiczne w Polsce za Jana Kazimierza i to obrazy piórem Wacława Potockiego kreślone. Być może że p. Nabelak przecenia nieco wartość Argenidy, której zdaniem naszym nie można stawiać na równi z Wojną Chocimską tegoż autora; w każdym razie jednak p. Nabelakowi należy się uznanie zasługi i wdzięczność, za wydobycie z zapomnienia utworu w swoim czasie bardzo cenionego i zasługującego na bliższe poznanie. Przytoczymy próbkę stylu i pojęć Wacława Potockiego. Przypisując pogorszony stan sprawy publicznej długiemu pokojowi i zbytkom, tak dalej mówi, zwracając mowę do króla:

Więc jeśli niebo, z którem trudno się nam siepać,
Nie z gruntu nas zagubić, tylko chcąc przetrzepać,
Zdarzy postawić w porcie uciszonym nawę;
Wyżeń z niej wszystkie zbytki, choćby dać na strawę
Przedtem za naszych przodków i starych żołnierzów,
Co przy sukni baranięj, rysich się kółnierzów
Nie wstydzali, lwem sercem, lub do pojedynku
Lub do szyku odziane: broń Boże! na szynku
Wino komu przedawać, krom jednej apteki,
I tylko do kościoła, i na same leki...
Dziś niechaj syn koronny mocno temu wierzy,
Że chociaż nie szynkuje i łokciem nie mierzy,
Jeśli nie będzie wojny w młodem lecia służył,
Ani odda na co się rodzący zadłużył,
Szlachecciem być nie może i szczycić się herbem,
Nie synem bywszy matce lecz podłym pasierbem.
Cudowna wolność! łokeia bronią im i kwarty,
A do wszystkiego złego gościniec otwarty!
Niż tylko przez uczciwe blizny będzie w krzesła
Przystęp, a kogo cnota i godność wyniesła,
Niech się żaden nie waży honoru napierać,
Aż się pierwój za matkę nauczy umierać...

Od Wacława Potockiego przejdziemy do Karola Balińskiego, autora poematu pod napisem: Męczeństwo Zbawiciela, z którego 7 ustępów: 1. Zbawiciel w Ogrójcu 2. Zdrada, 3. Pojmanie, 4. Zabiegi wrogów, 5. Jeruzalem, 6. Annasz, 7. Sąd Kaifasza,

w rozbieranym przez nas tomie Biblioteki Ossolińskich (od str. 197 do 256) znajdujemy. Poeta z wieku XVIIgo i poeta z wieku XIXgo dobrze obok siebie stać mogą. Są to natury sympatyczne, jedna i druga dopełniające się wzajem na podstawie wspólnych uczuć i dążeń, a pod względem poetyckiego ducha i talentu, w ostatnim swoim utworze Baliński tak wysoko stanął, iż postawienie go obok Wacława Potockiego temu ostatniemu nie ubliży. Dla obeznanych z ostatnim okresem dziejów naszej poezji jestto po części niespodzianka, nie dawno bowiem wydany przekład dramatu Kalderona: *Kochankowie nieba*, mógł raczej służyć za wskazówkę kierunku pojęć Balińskiego, jak za miarę jego talentu, a dawniejsze jego poezye miały niewątpliwie wartość raczej okolicznościową jak rzeczywistą. Tymczasem, w poemacie o Męczeństwie Zbawiciela taką widzimy dojrzałość talentu, taką miarę i namysł w układzie, tak naturalne i jakby jasnowidzące ożywienie przedmiotu, taki wreszcie wdzięk stylu, iż nie wahamy się zaliczyć ten poemat, skoro do końca równie pomyślnie doprowadzonym zostanie jak został zaczęty, do znakomitszych ozdób naszej literatury.

Ściśle biorąc, wybór przedmiotu mógłby ulegać zarzutom: zdawałoby się, iż przedmiot czci nie łatwo może być zarazem materialem dla fantazji twórczej, chyba by przypuścić w czytelnikach wielką pierwotnych wieków wiarę, albo też przeciwnie usposobienie zupełnie indyferentyczne, poszukujące samych tylko artystycznych wrażeń. Oprócz tego, zadanie jest utrudnione wymaganiami natężeniem ducha, jednostajnie utrzymaniem wśród całego szeregu wrażeń wywołanych ruchem obrazów i przenośni, a nadto, potrzebą ścisłego zawarcia się w granicach tradycji, której text literalny dopuszcza tylko poetyczną parafrazę, a i tę czyni zbyteczną, chyba że ją szczególne zalety wspierają. Skoro jednak malarstwo i muzyka biorą nieraz za przedmiot tajemnice religii chrześcijańskiej, nie można się dziwić że i poezya do tego samego się porywa, chociaż, przy wielkich nawet usiłowaniach, skutek nie zawsze odpowiada wyekspensowanym na podobne przedsięwzięcie siłom ducha, jak tego mamy przykład znakomity na Messyadzie Klopsztoka, utworze tak dzisiaj zapomnianym, pomimo wielkiej potęgi pomysłu i wykonania. Nie wiemy czy poemat Balińskiego będzie szczęśliwszy, to jednak pewna, że czyta się z pewnym urokiem, że zachowując proporcje powieści ludzkiej, łagodnie i nieustannie pociąga myśl i podnosi ducha czytelnika. Mimowolnie nasuwałoby się porównanie z Przenaj-

świętszą rodziną B. Zaleskiego, ale utwór Balińskiego innéj jest natury, pozornie mniej artystyczny, w rzeczywistości zaś większego polotu i znaczenia. Przytoczymy, prawdziwie na traf, kilka wierszy z ustępu Igo, gdzie poeta opisuje pokusy, jakie szatan stawiał Zbawicielowi w ciągu modlitwy Jego w Ogroju:

Wszystkie następnych wieków szkarady
Do końca dziejów, do końca świata,
Z ludzkim obliczem najbrzydsze gady
Przed Zbawiciela szatan wymiata.
„Objąłem, woła, czasów krawędzie,
Takim był człowiek i jest i będzie”.
W blasku szatańskich onych płomieni
W przestrzeni światów, wieków przestrzeni,
Przez niezliczonych zbrodni ciemnię
Dostrzegł Pan wreszcie swoją winnicę.
Ciężą ku ziemi grona jéj święte,
Tak pełne! jednak jakby nietknięte!
A sok niebiański co sam z nich płynie,
Nie w serca wsiąka ale w pustynię.
Bo tuż w około pustynia, stepy,
Piaski spalone od skwaru słońca,
A po tych stepach ciągnie tłum ślepy,
Tłum niezliczony, zda się bez końca.
A wszyscy, wszyscy, szukają zdroju,
Bo choć zgłodnieli, bardziej niż chleba
Dusze ich spiekłe pragną napoju.
Dziwna ślepota wszystko spostrzega,
Oczy ma jasne i wszystko widzi,
Prócz tego tylko czego jéj trzeba!
Z winnicy Pańskiej służba wybiega,
Wejście wskazuje, napój ogłasza,
I całym sercem wzywa, zaprasza,
A tłum się na nią złości, i szydzi
I kamionuje! i w strasznym śmiechu,
Dalej w gwałtownym dąży pośpiechu,
Aż wycieńczony w skwarnéj tęsknicy
Pada i kona, krok od winnicy!
Spalony skwarem, w okropnym znoju,
Ginie z pragnienia o krok od zdroju!

Tak świetnie reprezentowany w tym tomie Biblioteki dział literatury zakończy Pindara Oda Olimpijska I, pięknie przełożona przez Wiernikowskiego, poczem następuje z działu umiejętności rozprawa dra. Wojciecha Urbańskiego, pod wspólnym z rozprawą w I tomie umieszczoną tytułem ogólnym: *Zdobycze fizyki nowoczesnej*, rozbiegająca tak nazwane *perpetuum mobile* czyli

wieczyste rucho, tak bowiem, za świadectwem autora, spolszczył ten wyraz Piotr Kochanowski. Po szczegółowym wywodzie prawa Helmholtz'a o zachowaniu siły, i uwagach nad siłą czyli pracą nagromadzoną (którą nie wiemy czy trafnie p. Urbański nazywa pracą naspiżoną, *emmagasinée*), autor przytacza mniemany pewnego Amerykanina wynalazek, który przed kilkunastu laty narobił wiele hałasu w Europie. Projekt jego był następujący: Wiadomo, że przy gorenium wodoru w czystym tlenie powstaje znaczna ilość ciepła. Tém ciepłem można utrzymywać w ruchu małą maszynę parową, która dostarczy siły mechanicznej, mogącej obracać przyrząd elektromagnetyczny, a elektryczne strumienie tego przyrządu rozkładać będą wodę na jęj pierwiastki: tlen i wodor. Skoro się zaś te dwa gazy ustawicznie z wody wywiązują, nie zabraknie materiału palnego do zamienienia wody w parę wysokięj sprężystości, a tęp samym do ciągłego utrzymywania maszyny parowęj w ruchu. Ta zaś, poruszając dalej magnesy, wywoływać będzie w drutach należycie zamkniętych strumienie elektryczne, które, przez ciągłą elektrolizę wody czyli rozkład jęj na tlen i wodor, nie przestaną zasilać paliwem maszynę parową, i tak dalej bez końca. A że, za włożeniem kawałka kredy lub wapna niegaszonego w płomień gorejącego wodoru, w czystym tlenie rozwija się światło (Drummonda) prawie tak jasne jak słońce, więc można tym sposobem mieć także zarazem i wspaniałe oświetlenie. Pomysł Amerykanina dosyć był pozorny, ale nie mógł się ostać w obec udowodnionego już dzisiaj twierdzenia, że w całej nawet naturze, jako całość uważanej, wieczyste rucho nie istnieje. Ostateczne rozstrzygnięcie w tęp arcyważnej i wielce ciekawęj sprawie, stanowiącę epokę w postępach fizyki nowoczesnej, nastąpiło dopiero około połowy bieżącego stolecia i jeszcze nawet do szkół się nie przedarło. Przytoczywszy prawo Karnota o przemianie ciepła w pracę mechaniczną tylko przy różnicy temperatury, p. Urbański rozwija następnie twierdzenie Klauzyusza orzekające równoważność ciepłika i pracy, objaśnia wnioski Redtenbachera i Thomsona tyjące się żywęj siły światła słonecznego i ruchu eteru, a w końcu następującą, bez wątpienia wielce ciekawą zamieszcza uwagę: „Znając prawo Karnota i prawo stateczności czyli zachowania siły, metamorfozującęj się ciągle tak rozmaicie w przebiegu zjawisk fizykalnych, chemicznych, mechanicznych i fizyologicznych, musimy dziś nazwę „wieczyste rucho” odmówić samęj nawet wielkięj naturze, jako całości świata, który przez nie na

wieczysty spoczynek jest skazany. Zaiste! podziwiać należy bystrość umysłu Thomsona, który z liter małego, dawniej już znanego zrównania matematycznego, orzekającego tylko związek między ciepłem, objętością i ciśnieniem ciał, umiał wyczytać wniosek tak wielkiej doniosłości i na podstawie ścisłej nauki ogłosił wyrok śmierci dla całego świata!"

Z kolei nie możemy pominąć bez wzmianki znany już z kądinąd, acz niedokładnie, a teraz z francuzkiego rękopismu dostawione przez p. Xawerego Godebskiego przełożony Pamiętnik księcia Józefa Poniatowskiego o wojnie 1792 roku. Pomiędzy papierami pozostałymi po znakomitym badaczu naszego języka, ś. p. generale Mrozińskim, których część przechowana u jednego z księgarzy lwowskich przeszła na własność Zakładu imienia Ossolińskich, znalazł się Pamiętnik księcia Józefa Poniatowskiego, w języku francuzkim: *Mes souvenirs de la campagne de 1792*. W 1821 r. Mroziński powierzył swój rękopis Franciszkowi Grzymale wydawcy *Sybilli nadwiślańskiej*, który umieścił go w dzienniku swoim, ale obrobiony w sposób jaki mu miejscowe nakazywały względy, a więc podobno jeszcze cześć powszechna, jaką sobie wódz polski bohaterskim zgonem swoim zjednał w narodzie. Jakkolwiek krótki ten pamiętnik (od str. 297 do 317) nowych nam faktów nie podaje, jednak dokonany przez p. Godebskiego nowy i dokładny przekład, tém bardziej zasługuje na uznanie, iż bez ubliżenia pamięci ulubionego wodza, dało się od zapomnienia ochronić autentyczne świadectwo jego czynów i przekonań, da biografii księcia Józefa jako materyał posłużyć mogące.

W artykule pod tytułem: kościelne sprawy na Rusi za rządów Kazimierza Wielkiego, p. Izidor Szaraniewicz opisuje jednoczesne prawie usiłowania naszego króla i wielkiego księcia litewskiego Olgerda, dotyczące się urządzenia hierarchii kościoła greckiego na Rusi Czerwonej i w państwie litewskim, w porozumieniu z patriarchą konstantynopolitańskim.

Wincentego de Dominico listy o Polsce pisane do senatu genueńskiego r. 1483 i 1484, odnoszą się do wypadku dotąd w historii naszej niewspomnianego. Opanowanie Kaffy i innych portów genueńskich przez Turków spowodowało zbliżenie się do nas rzeczypospolitej genueńskiej za Kazimierza Jagiellończyka i usiłowanie zawiązania z nami stosunków ściślejszych, w celu podniesienia wojny przeciw Turkom wspólnymi siłami. Świadectwem tych stosunków są dwa listy posła genueńskiego, znajdu-

jące się obecnie w zbiorze kawalera Fryderyka Stefaniego w Wenecyi, a udzielone w odpisie redakcyi Biblioteki Ossolińskich przez hrabiego Włodzimierza Bröel-Platera. Do tekstu, obok polskiego przekładu, dołączone są niektóre objaśnienia.

Wreszcie, na zakończenie wspomnieć należy o obszerniej pracy p. Augusta Bielowskiego (od str. 351 do 432) pod tytułem: *Mistrz Wincenty i jego kronika polska*. Do tej pracy, w której z wielką jasnością, erudycją i biegłością krytyczną p. Bielowski swój pogląd na kronikę Wincentego wyklada, zachęciło go dokonane w Krakowie w roku zeszłym, staraniem hr. Alexandra Przezdzieckiego, wydanie z przekładem polskim *Kroniki Mistrza Wincentego*, zwanego zwykle (mylnie podług p. Bielowskiego) *Kadłubkiem*, według tekstu rękopismu szczęśliwie odszukanego przez hr. Przezdzieckiego w bibliotece wiedeńskiej, pisanego niegdyś w Polsce przez Mikołaja kanonika poznańskiego a nazwanego przez wydawcę kodexem Eugeniuszowskim, z powodu iż należał do księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, który go miał od Leibniza. Oddając zupełną sprawiedliwość zaletom i użyteczności tej publikacyi, p. Bielowski utrzymuje, a raczej z nieprzepartą oczywistością dowodzi, że rękopism wiedeński uważać można za jednoczesny z rękopismem Kuropatnickiego, niedbale i nieumiejętnie w r. 1824 przez Kownackiego wydany, że obaj skrypcy, na początku XIVgo wieku przepisujący, mieli przed sobą jeden i ten sam rękopism, który daleki był od tego, iżby mógł za autograf uchodzić. Oba te pergaminowe kodexy (wiedeński i Kuropatnickiego) zdaniem p. Bielowskiego mogą być korzystnie użyte w pracy filologicznej około kroniki Wincentego, ale same w sobie uważane, nie mogą służyć za podstawę dobrego wydania, albowiem podają nam text jej częstokroć gorszy niż ten, jaki w późniejszych, papierowych kodexach kroniki tej znajdujemy.

Pozostawiając specjalnej krytyce ocenienie trafności wywodów przez p. Bielowskiego już poprzednio w *Krytycznym Wstępie* do dziejów polskich podanych, a tu powtórzonych, w przedmiocie poprawnego czytania imion starożytnych, według którego najdawniejsze podania kroniki Wincentego odnosiłyby się nie do wybrzeży duńskich, lecz do dalmackich, przyznać możemy, iż rękopism wiedeński nie rozstrzyga wątpliwości co do wariantów p. Bielowskiego, które według przyznania ś. p. Lelewela uchylają niegrabności tekstu Mateusza, domniemanego autora pierwszej

księgi kroniki Wincentego. Osobny rozdział poświęca p. Bielowski odpowiedzi na niezręczną recenzją przez p. Jülg profesora języków wschodnich w uniwersytecie krakowskim, w pismach wiedeńskich umieszczoną, w której ten orientalista, z kronikami średniowiecznymi nieobeznany, powołuje się na powagę niejakiego p. Alfreda Gutschmid, w rozprawie swojej o Wincentym Kadłubku, nadającego podaniom naszym allegoryczne znaczenie: *Erkenne ich im Popiel eine Personification der Sommerhitze!* Tu się krytyka niemiecka nie popisała. G. E.

Pamiętniki z wojny amerykańskiej 1862 r. Ludwika Żychlińskiego. Poznań. Nakładem N. Kamińskiego i spółki. 1863 r., w 8-ce, str. 16.

Dnia 1 lutego 1862 r. opuszcza autor Londyn, i na statku żaglowym trzy-masztowym *Hemisphere*, płynie do Nowego-Yorku. Wytrzymawszy kilka straszliwych burz, po żegludze pięcio-tygodniowej, z rana 9 marca, powitał wybrzeża Nowego Świata. Nazajutrz już był w Nowym-Yorku, i bezwłocznie z listami polecającymi, udał się do pułkownika Feliksa Confort Francuza, który tworzył pułk pod nazwiskiem „*Les enfants perdues*,” składający się z Francuzów i Niemców. Niemogąc otrzymać stopnia oficera, w randze podoficera chorążego wszedł do tego pułku i dnia 28 marca wyruszył na pole bitwy pod fortecę Jorktown w południowo-wschodniej Wirginii, mocno obwarowaną i bronioną przez trzy dywizye Stanów Konfederackich Ameryki Południowej.

Zajmujące podaje nam autor wiadomości o tworzeniu się armii Stanów Północnych.

„Prezydent Stanów Zjednoczonych wydaje rozkaz do gubernatorów rozmaitych Stanów, aby formowali pułki potrzebne do wojny, a minister wojny, podług ludności rozdziela sumę ogólną potrzebnego żołnierza, na rozmaite Stany i prowincye. Każdy gubernator musi pewną liczbę wolontaryuszów ze swego Stanu, rządowi do Waszyngthonu dostawić, i w ten sposób zaczyna formować pułki. Daje przez fawor, przyjaźń lub protekcją jakimubądź adwokatowi lub kupcowi, pozwolenie formowania pułków i nominuje go pułkownikiem: ten tak nominowany pułkownik każe druko-

wać plakaty i po gazetach donosi, że odebrał pozwolenie formowania pułku, obiecuje w artykułach po gazetach pisanych złote góry żołnierzom; sam szuka najpierw podpułkownika, który mu daje pewną sumę na kosztą rekrutowania, lub zapewnia, że mu dostawi 100 lub 150 ludzi: tak samo nominuje majora i każdego kapitana. Kapitan, chcąc mieć nominacyą, musi dostawić 75 ludzi, lub stosowną sumę zapłacić na kosztą rekrutowania: taki kapitan, musi zatem szukać porucznika i podporucznika. Porucznik daje mu 400 dolarów, lub 40 ludzi dostawi, podporucznik 20, lub 200 dolarów na kosztą rekrutowania kapitanowi dać musi, jeżeli chce nominacyą otrzymać.

„W ten sposób każdy oficer ma swoje własne biuro rekrutowania, a mając dostateczną liczbę wolontaryuszów, podaje żądanie do pułkownika o swoją nominacyą; od tej chwili przysięga na wierność Stanom Zjednoczonym i jest płatny od głównego rządu, a nie od Stanu w którym rekrutował. Z tego powodu oficerowie chodzą po szynkach, po oberżach i zwiedzają nowo przybyłe statki; tam obiecankami skłaniają człowieka do zaciągnięcia się: rozpajają lud prosty, aby w ten sposób uzyskać jego podpis, i stawiać go przed komisyją na to wyznaczoną, gdzie przysięga na wierność głównemu rządowi, na trzy lata służby, lub na tak długo, jak wojna potrwa. Mając takiego żołnierza, nazywają go wolontaryuszem, ubierają go, żywią i w koszarach lub w polu pod namiotami trzymają, aż cały pułk się nie uformuje. Pułkownik uzbierawszy 1000 ludzi, to jest 10 kompanij, odbiera rozkaz udania się do Waszyngthonu; wsadzają pułk tak uzbierany na parowiec lub kolej żelazną i wysyłają: tam stanawszy dają mu broń i numer z kolei mu przypadający, odsyłając go do przeznaczonój dywizyi prosto na pole bitwy.

Pułk zwykle formuje się 5 a czasem 6 miesięcy, ażeby dojść do liczby 1000 ludzi. W tym czasie mało ćwiczą żołnierza: dają dość dobre jedzenie i ubranie, aby nie zrazić innych do zaciągania się; lecz to się zmienia nagle kiedy pułk w komplecie wysłany na plac boju: tam uczą dopiero żołnierza poruszeń i armatami naganiają w ogień.

„Oficerowie są to ludzie bez żadnych wiadomości wojskowych. Każdy może zostać majorem, kapitanem, a nawet i pułkownikiem, jeżeli ma pieniądze na pierwsze rekrutowanie i znajomość miejsca gdzie rekrutuje: i tak często się zdarza, że szewczyk, kupczyk i krawczyk jest oficerem wykształconego człowieka, a zwłaszcza cudzoziemca co tu przybył z wiadomościami wojsko-

wemi z Niemiec lub Francji w nadziei zostania oficerem. Pułkownik jest zwykle kupcem, uważa on formowanie pułku za spekulacyą, tak samo jak wszyscy oficerowie w pułku“.

Podajemy ten ustęp dosłownie, jako wymownie charakteryzujący Amerykanów, a głównie Stany Zjednoczone północne, gdzie najszlachetniejsze powołanie obrony ojczyzny zagrożonej, spoczywa w ręku spekulantów.

Wysoka płaca wabi też nie mało, pułkownik otrzymuje miesięcznie 245 dolarów, podpułkownik 190, major 180, kapitan 145, porucznik 125, podporucznik 109 dolarów: pierwszy podoficer 22, drugi podoficer 20, zwyczajny podoficer 17, a wolontaryusz żołnierz 13 dolarów miesięcznie (1).

„Dla téj to płacy wojna się prowadzi, lecz bynajmniej nie dla patriotyztu lub zniesienia niewolnictwa“ pisze Żychliński (2).

Żołd ma być płacony wolontaryuszom co dwa miesiące, lecz się zdarza, że i po 8 nie są płaćeni. Żołnierz po ukończonej wojnie ma prawo do 100 dolarów gratyfikacji lub do 160 morgów ziemi, to jest dziczyny na stepach. Zaręczono pensye dożywotnie rannym lub niezdolnym do pracy oficerom i żołnierzom po ukończonej wojnie: „wiele tysięcy kalek (mówi Żychliński) po ulicach i drogach włóczy się i z głodu umiera, gdyż w prawie jest powiedziane, że dopiero po ukończonej wojnie pensye płaćć będą“.

„Organizacya wojskowa jest jak najgorsza, tak samo i administracya, gdyż obie są w ręku spekulantów i kupców, a nie ludzi sercem pełnem miłości ojczyzny“.

Pułk, w którym Żychliński służył, nie znał mustry. „Rozmawiając, pomyślałem sobie (mówi) patrząc na zdumiałych i zatrwożonych żołnierzów, pytających się, co mają robić, jeżeli rozkaz dostaną pójść w ogień. Byli tacy nawet co nie umieli nabijać karabina

(1) Dolar — złp. 8 gr. 22.

(2) Na r. 1863 w armii Stanów Północnych jest 74 naczelników sztabu, z których 4 należy do regularnej armii a 70 do korpusów ochotników. Każdy z nich pobiera na rok 5,000 dolarów i ma prawo wybrać dla siebie trzech asystentów z gażą po 1,500 dolarów. Brygadyerów sztabowych 284 po 4,000 dolarów rocznie ma po dwóch asystentów, tych pensya wynosi 852,000 dolarów rocznie. Naczelnicy sztabu regularnej armii mają pułkowników, majorów, kapitanów i t. p. należących do ich sztabu. Ogół pensyi tylko sztabów i oficerów przydzielonych do nich wynosi 3,000,000, dolarów, nielicząc samej armii, artylerji, ambulansów, służby lekarskiej, pociągowej i t. p. Dodajemy do tego złą i szarpiącą pieniądze rządu administracyą wojenną, a możemy mieć wyobrażenie, jakie skarby pochłania wojna terazniejsza, oprócz przelanej krwi strumieni.

i nie znali użycia bagnetu, a co dopiero komendy naszego pocziwego pułkownika Confort, który nie umiał i słowa po angielsku, i nie mógł się rozmówić z Niemcami i Irlandczykami, których narodowości nasz pułk w połowie składały”.

Mówiąc o tworzeniu pułków, nasz autor pisze: „w Polsce nikt jasno tego szachrajstwa nie zrozumie, i spodziewa się sądząc uczuciem serca polskiego, że to z patryotyzmu formują wolontaryuszów i że takowe pułki składają się z Amerykanów kochających swój kraj i broniących swych praw i wolności”.

Tymczasem Amerykanin północny nienawidzi wojny, i niema w sobie odwagi żołnierskiej: całą myśl i uczucie zwraca wyłącznie na spekulację i „*tylko dla pieniędzy bić się będzie*”. Chcąc jednak utrzymać w całości Zjednoczone Stany i konstytucję, zbierają cudzoziemców. Gdy jednakże już zabrakło Irlandczyków i Niemców, którzy najliczniej wypełniali na północy armie, rząd w potrzebie zagroził rekrutowaniem rodowitych Amerykanów przez losowanie. Ci, w obawie naciśnieni utworzyli komiteta i ogłosili, że dadzą na rękę po 100 dolarów temu, co się do wojska dobrowolnie zaciągnie; lecz gdy nadzieja ich omyliła, podwyższyli sumę do 200 dolarów nagrody i 100 dolarów po wojnie: ale ochotników nie znaleźli w dostatecznej liczbie przez rząd nakazanej.

„Inaczej (mówi Żychliński) stosunki się mają w *Ameryce południowej*, tak nazwanych Stanów Konfederackich: tam nienawiść osobista przeciwko Północy i obawa stracenia posiadłości, każdego pojedynczego obywatela, powoduje do schwycenia broni; tam walczą w szeregach synowie właścicieli i obywatele Ameryki południowej: tam każdy jest żołnierzem.

„Żony wyganiają mężów, matki synów, aby wypędzić najazd Ameryki północnej i bronić swojej własności; tam Stany południowe walczą o swoją niepodległość i niezależność od Stanów północnych Ameryki.

„Północne Stany są liczniejsze, gdyż składają 21,000,000 ludności, a Południowe 8,000,000 tylko i 4,000,000 murzynów niewolników. Północ jest bogatsza w produkta i żywność, ma flotę znaczną i teraz równającą się Francji, liczniejsze wojska, *lecz nigdy nie przynębią Południa*. Dowodem, że do dziś dnia zawsze i w każdej bitwie Północ traci tysiące żołnierzy, prowincye i wojska Stanów Zjednoczonych stoją w tej samej pozycji, w jakiej stały na początku wojny”.

Takie zdanie daje nasz autor, żołnierz Północy, który zblizka poznał stan rzeczy na miejscu, a zdanie to popiera wielu

innych cudzoziemców, co także zbliżka ten przedmiot zbadali. Prezydent wszelako jak i rząd ze stronnictwem swoim inaczej widać sądzi, gdy z taką zaciętością pomimo klęsk licznych, krwawe walki ponawia i rok drugi prowadzi.

Kończymy na tém sprawozdanie o zajmującej broszurze Ludwika Żychlińskiego; ciekawy czytelnik szczegółów przygód wojennych naszego rodaka, znajdzie w niej opisane; z nich to tylko dodamy, że ów pułk z szumną nazwą: „*Les Enfants perdues*”, nie odpowiedział swemu zadaniu; żołnierz jako tako stał w ogniu, ale panowie oficerowie podczas bitwy tak potracili głowy i odwagę, że się pochowali po za drzewami i w dołach. „Myślałem, że ten lub ów ranny lub poległ; po bitwie jednakże wielu się poznajdowało i nawet mój kapitan, (pisze autor), Hiszpan się znalazł, skarżąc się, że padł przez drzewo kulą armatnią zgruchotane”. Armia Stanów Północnych była wówczas pod dowództwem generała Mac Clellana. Południowcy dzielnie zawsze walczyli i w każdej bitwie, jak odznaczeni się męstwem, tak dowódcy ich okazywali wysokie zdolności wojskowe.

Nasz autor lekko ranny, a następnie obłożną chorobą złożony, jako niezdatny do dalszej służby, 10 lipca dostał się szczęśliwie do Nowego Yorku. Pamiętnik swój datuje 1 listopada 1862 r. z Bostonu, gdzie śledzi pilnie rozwój wypadków wojennych i politycznych Stanów Zjednoczonych, przyrzekając składać o nich sumienne sprawozdania. Podzielając nadzieję, że pókój zostanie zawarty z powodu wyborów, w których partya demokratyczna brała górę; zakończy pracę swoją temi słowy:

„Zapewne wiadomo rodakom, że w Ameryce zawsze są dwie partye: republikańska, na czele której dziś prezydent, a demokratyczna, która pragnie pokoju, chce dać Południowi korzyści i nie jest za zniesieniem niewolników. Partya demokratyczna pragnie tylko utrzymania całości z zjednoczenia Stanów w całej Ameryce. Generał Mac Clellan jest dziś na czele tej partyi i ma w Zachodnich Stanach Ameryki tak w Pensylwanii, jako New York Stat (w Stanie Nowego Yorku) partyzantów, sprzyjających mu spekulantom i publiczność”.

Wybory wypadły w listopadzie roku zeszłego. Widzimy, że nadzieje autora były płonne, gdyż walka do obecnej chwili toczy się krwawa i zażarta, a myśl pokoju pomimo klęsk doznanych jest bardzo daleko w rządzie Stanów Północnych.

K. WZ. W.

Stanisław Staszic. Szkic biograficzny przez Władysława Zawadzkiego. Lwów. 1860 r. W drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. W 8ce, str. 111.

Trudne u nas zadanie pisania życiorysów, czy to mężów stanu, czy wojowników, głównie z ostatniego stulecia. Powołani do prac krajowych, musieli znosić niemało ciosów, przełamywać zawady i nie raz w miejsce chlubnej obywatelskiej nagrody i uznania spotykała ich nienawiść współczesnych, słowo zniewagi niedojrzałych w potomności pisarzy, którzy nie umiejąc sądzić ludzi we właściwych ramach czasu, stawiają ich szanowne postacie przed trybunałem dzisiejszych pojęć i postępu, lżą bezuważnie, że wówczas nie postępowali, jak dzisiejsze wyobrażenia nakazują.

Trudność nietylko w tém leży, ale i w swobodzie słowa, które jest niełatwe u nas. Więcej mają pola po temu pisarze z nad Warty i z nad Dniestru i właśnie mamy mówić o biografii Staszica, które ogłosił drukiem Władysław Zawadzki.

Bogate miał przed sobą autor materyały, ale nie wszystkie znał i zbałał: dlatego też i ten *szkic biograficzny*, jak go sam nazywa, raczej także za materyał policzyć możemy, niż za zupełny życiorys. Najważniejsze zasługi *Staszica* wybijają w działaniach urzędowych; aby ocenić ich doniosłość, potrzeba znać dokładnie położenie ówczesne Królestwa i jego administracyą. Księztwo Warszawskie zubożone wojną i poświęceniem gorącym całego obywatelstwa, stan finansów opłakany, zagrożenie ruiną fortun ziemiańskich, przemysł i handel upadły: oto obraz stanu tej części Polski, która przybrała na kongresie wiedeńskim tytuł Królestwa, jakkolwiek w zmniejszonych i obciętych granicach. Królestwo straciło znaczną część Poznańskiego, straciło Kraków i żupy wielickie. *Staszic*, który żył i pracował, jako mąż pióra i rady za rzeczypospolitą, patrzył na jej ruinę, a następnie na odrodzenie się w małej części, pracował i radził rozumnie i uczciwie, stósownie do czasu swego.

Przekonania jego, jakie wówczas podzielał, nie dadzą się zaprawdę dziś zastosować, ale przypomnijmy sobie, że dzieli nas od niego z górą pół wieku, a w zmianie wyobrażeń i postępu, parę rzec można wieków.

Szkic Wład. Zawadzkiego, powtarzamy, może posłużyć tylko za szczupły materyał, bo życiorys *Staszica*, aby był dokładny i zrozumiany, zasługuje tak znakomitego męża, musi być rozwinięty

na tle narodu i społeczności ówczesnej. Pisząc o Staszicu, potrzeba postawić postacie ówczesne, co także władze administracyjne kraju w ręku dzierżyli i stawiali mu przeszkody, lub też pomagali.

Żywot Staszica z wielu względów musi być badany: raz jako męża stanu, i to zadanie najtrudniejsze; powtóre, jako pisarza i szlachetnego dobroczyńcy, który zbierał, żył skromnie i skąpo, aby po swoim zgonie pokazać hojność dla sierót, biednych i włościan dóbr swoich.

Zadanie to trudne, ale sądzimy, że wkrótce znajdzie się biograf, który tym warunkom wszystkim godnie odpowiedzieć podoła.

K. Wł. W.

Geografia Królestwa Polskiego podług najnowszych źródeł, skreślona przez B. Kołodzińskiego. Wydanie drugie poprawione i powiększone z mapką Królestwa Polskiego, Warszawa. Nakładem Alexandra Lewińskiego księgarza. 1863 r. w 8ce str. 78, i VI skorowidza.

Po utworzeniu Królestwa Polskiego na kongresie wiedeńskim w r. 1815, we dwa lata, krótką jeografią wydał ksiądz pijar Poltowski w r. 1817: dzieliło się wówczas na ośm województw i ten podział trwał, aż po roku 1832. Zmieniono skład Królestwa na pięć gubernij następnie. Blisko pół wieku upłynęło, a dopiero się pojawia nowy opis geograficzny. Czemu przypisać brak starannego opisu tej części Polski? Od r. 1815 do 1831, źródła statystyczne łatwo były przystępne, ale nie było ochotnego pracownika: później chociaż nie jeden z pisarzy pragnął wziąć się do tego przedmiotu, źródła te zostały tajemnicą archiwów, i nikt ich nie znał.

Częstkowe wiadomości po pismach peryodycznych okazywały się od czasu do czasu: najważniejsze oddał w tej gałęzi usługi Ludwik Wolski. Mając dostępne materyały rządowe, ogłosił w Bibliotece Warszawskiej zajmujące wiadomości o jeziorach w Królestwie Polskiem, później w Kalendarzu wydawanym przez obserwatorium astronomiczne warszawskie, od r. 1857 podawał szczegółowe tabelle statystyczne, które pożądanem były źródłem, dla opisu Królestwa Polskiego. Od r. 1859 jako współpracownik *Encyklopedyi Powszechnej*, w tém ważnem dziele drukował opisy statystyczne gubernij i powiatów, które pod właściwe przypadady litery. Oddawna też, jak wiemy, przygotowywa geografią Królestwa Polskiego, na podstawie materyałów urzę-

dowych, które rok rocznie składają właściwe władze do Kommissyi Spraw Wewnętrznych; praca więc Ludwika Wolskiego, będzie najdokładniejszą, bo oparta na pewnych danych.

W b. Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie professor Jastrzębowski, wykładał geografię Królestwa Polskiego. Po wysłuchanym jego kursie, każdy uczeń nabierał dopiero wyobrażenia o tym przedmiocie. Dziwnym był przecież egzamen, który składać musiał każdy wchodzący do tego Instytutu, z tej geografii, której zupełnie nie znał: co wiedział, to tylko z posłuchu a ciekawości, bo żadnego podręcznego dziełka do objaśnienia się nie miał, a opis księdza Politeńskiego, raz że stał się rzadkością bibliograficzną, trudnym był do nabycia, a następnie po zmianie województw na gubernie, już przestał być użytecznym.

P. Kołodziński, po wydaniu Geografii Królestwa Polskiego, korzystając z uwag, i zbadawszy lepiej źródła statystyczne, pracą L. Wolskiego zebrane i ogłoszone, wydał drugą edycję, którą jako książkę podręczną w jednym obrazie, podając wiadomości skupione, jest pożądaną i potrzebną. Brak a potrzeba takiego dziełka pokazał zakup pierwszego wydania. W opisie miast, historyczna część gdzieś gdzieś zaledwie dotknięta, lubo autorowi nie brakło w tym przedmiocie pomocy łatwej, jaką ma każdy, w *Starożytniej Polsce* M. Balińskiego i T. Lipińskiego. Pojmujemy, że szczupłe ramy nie dozwoliły mu rozszerzać się nad opisem historycznym miast naszych, ale godziło się przy każdym, chociaż wiek wskazać, w którym już było grodem: czuł tę potrzebę autor, i przy niektórych mówi o wieku ich powstania, w innych zupełnie stronę historyczną omija. A przecież to rzecz nie obojętna w geografii Królestwa. Co do opisu rządu, autor w dziele p. n. *urzędu i władze*, w 18 wierszach je zbywa, suchém wyliczeniem tytułów, które niczego nie uczą i nic nie objaśniają. Każdy *Rocznik urzędowy* mógł być posłużyć tu autorowi, do dokładniejszego ich obrazu. W żadnym miejscu p. Kołodziński nie wspomniał, choćby w lekkim zarysie o *ludzie* zamieszkującym tę część dawniej Polski. Charakterystyka jego w takim dziele nie jest obojętną: różnica Mazura od Krakowiaka i Sandomierzaka wyraźna, a znów wielki przedział pomiędzy nimi a polskimi Rusinami, którzy zamieszkują powiat hrubieszowski i krasnostawski (w dawném województwie lubelskiem) a powiaty bialski i radzyński w dawném województwie podlaskiem. Arkusz lub dwa druku dodane, uzupełniłyby te niedokładności rażące, a praca autora dodałaby nie mało wartości: ale widać że te przedmioty są mu obce. Niegodziło się opuścić i zaścianków szlacheckich, lubo rzadszych jak przed r. 1831, których mieszkańcy zasługują na uwagę. Mapka załączona, pomimo zbyt drobnej skali, starannie wykonana.

W.

